

## **Wojciech Stanisławski: Cave тройка, czyli o trzech chybionych postawach wobec Rosji [FELIETON]**

Reakcje odruchowe, choć zrozumiałe, gdy dotykamy gorącej blachy, nie mogą wyznaczać kierunku działań ani refleksji. Odwołanie premiery „Borysa Godunowa” można jeszcze od biedy uznać za toporny gest, ale ambicje „derusyfikacji kultury” – kultury przez duże K i culture.pl – prowadzą donikąd – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Zgroza i oburzenie, jakie ogarniają nas w obliczu rosyjskich zbrodni wojennych na Ukrainie, domagają się ujścia. W sytuacji, kiedy nie każdemu dana jest postawa prawdziwie stoicka albo głębokie przepracowanie nakazu miłowania nieprzyjaciół, zrozumiały jest gniew, wściekłość, szereg reakcji błyskawicznych i odruchowych: dotknąwszy rozgrzanej blachy, cofamy rękę, widząc ładunki wybuchowe przymocowane do zabawek sięgamy po słówko „kacapy” okraszone jakimś wulgaryzmem, dłonie zaciskają się w pięści, strzał adrenaliny powoduje wzrost poziomu cukru we krwi, aż czuć przyjemną słodycz na języku.

Tym bardziej, że w drugim miesiącu najazdu Rosji na Ukrainę mamy do czynienia już nie z przestępstwami wobec ludności cywilnej podyktowanymi złym charakterem dowódcy niższego szczebla, strachem, chaosem czy brutalnością osiłka, od jakich nie jest wolna

większość armii. Okrucieństwo i swoiste, prostackie wyrafinowanie tych zbrodni (szczególnie rodzaje tortur, gwałty na matkach w obliczu dzieci, rozstrzeliwanie związanych cywili, umieszczanie prowokacyjnych napisów na pociskach, kierowanych na ukraińskie szpitale i przedszkola) sprawiają wrażenie, jakby inspiracją dla nich były filmy sensacyjne klasy B, w których psychopatyczny przestępca gra z policją w kotka i myszkę, czyniąc ze swych ofiar wskazówki dla pogoni.

Że jednak nie każdy z nas jest Jodie Foster lub Morganem Freemanem prędzej do głosu dochodzi adrenalina niż refleksja: skacze ciśnienie, rozszerzają się źrenice, spinają się mięśnie. Nie zastanawia nas ostentacja rosyjskich gwałtów, chociaż jest w niej coś niezwykłego. Nikt (przynajmniej w Polsce) nie brał na poważnie opowieści o „denazyfikacji” i „wojnie kulturowej” toczonej w Buczy przez 64. Brygadę Zmechanizowaną – ale w przechwalaniu się dokonanymi gwałtami przez żołnierzy tweetujących do dom, w dekrete Putina nadającym tytuł „gwardyjska” brygadzie sadystów-pedofilów jest coś więcej niż prowokacja w stylu Urbana. Być może jest to pokrętny sposób przekazania światu „Pomyślcie, jak złe musi być to, z czym walczymy, skoro my, pogromcy faszyzmu i obrońcy pokoju, zmuszeni jesteśmy dokonywać czynów tak haniebnych?”. Być może. Nie mamy jednak siły na podobne asany umysłu, łatwiej jest zalajkować filmik, na którym ukraińska rakietą rozwała ruski helikopter, opowiedzieć kolejny żart o generale Denaturowie (znacie to, jak jego adiutant „macha rękami w promieniu 500 m”?), walnąć w stół.

Albo – obrazić się na kulturę rosyjską. Hurtem. Zamiast dociekania, jakie jej elementy niosły i transformowały ideę „narodu-bogonośca”, jakie odcienie i rezonansy semantyczne między „Rusią” a „Rosją”

*Zgroza i oburzenie, jakie  
ogarniają nas w obliczu  
rosyjskich zbrodni wojennych  
na Ukrainie, domagają się  
ujścia*

ułatwiają tej drugiej  
próby zawłaszczenia  
dziedzictwa tej  
pierwszej – odwołać  
koncerty, na których  
wykonywany będzie  
Szostakowicz, obciąć  
nakłady na  
tłumaczenia

literatury polskiej, i generalnie – ogłosić „derusyfikację” po całości.  
Przysiady zamiast asan, zamiast namysłu – reakcja odruchowa: jak coś  
bukwami, boksować! Na literę Sz: Szostakowicz, Szyszkin, Szołochow,  
Szukszyn – a i Sołżenicyn się załapie.

Jest to jedna z trzech pułapek, trzech ślepych dróg „reakcji na Rosję”,  
trzech, jeśli ktoś chce, rozhulanych koni z trojki, którą tak miło, a  
przede wszystkim **tak łatwo** puścić się na oślep, w step, w śnieg. Hajda,  
trojka – z wytrzymałych koników wiackich, a jak ktoś zamożniejszy, to i  
z rysaków orłowskich...

Prowadzi w tej trójce koń środkowy, najsilniejszy, tzw. *koriennik*. W  
polskich realiach jest to najczęściej wzdorczy, pełen wyższości  
stosunek do kultury rosyjskiej jak leci. „Kacapia”. „Upudrowana  
Mordwa”. „Dziegiem na kilometr trąci”. Lubią w takie tony uderzać  
publicyści zakochani (zwykle bez wzajemności) w boksie, ale też mają z  
czego czerpać, gdyby własnej pogardy im zabrakło – bo też polskie  
doświadczenie Rosji ostatnich 250 lat (a i dawniejsze) było tak  
traumatyczne, tak naznaczone przemocą i okrucieństwem najeźdźcy,  
zaborcy, rusyfikatora, że najbardziej strauumatyzowani nawet w wersach  
Cwietajewej słyszeli świst knuta.

Po bokach *koriennika* biegną, jak wiadomo, dwa koniki mniejsze, nieco słabsze i mniej reprezentacyjne: *pristiażnyje*. W polskich warunkach rolę *pristiażnych* wzięły na siebie dwie postawy: ignorowanie Rosji oraz ślepa rusofilia.

Ignorowanie jest blisko spokrewnione z wyższością *koriennika*, niewykluczone, że oba rumaki pochodzą z tej samej stajni. Osoby apelujące o derusyfikację, piętnujące jako „rusofilów” lub „agenturę” wszystkich, którzy mają ochotę nadal się Rosją zajmować, nad Rosją zastanawiać, Rosję rozszyfrowywać, zwykły cokolwiek o niej wiedzieć a nawet, bywa, w przeszłości żywić nią niejaki zainteresowanie, co pozwala im w dzisiejszych czasach na malowniczą ekspiację. Ta jednak stanowi tylko wdzięczne tło do najwyższego uniesienia moralnego, z jakim piętnowani są historycy, filolodzy czy analitycy – tak, jak zaatakowany został w ostatnich dniach przez pewnego warszawskiego literata prof. Hieronim Grała.

Ignoranci nie mają okazji do sięgania po podobną paletę tonów i uniesień. Oni po prostu nigdy nie interesowali się ruskimi, bo zawsze wiedzieli, że to dzicz, swołocz i złodzieje zegarków; *wypić umią*, i tyle ich talentów. Ich prekursorami jest zapewne ród Bieleckich z „Płomieni” Brzozowskiego, który jednak od tego czasu mocno podupadł i zdemokratyzował się. Jakaż teraz satysfakcja jego rozrodzonych przedstawicieli, skoro okazuje się, że ta wiedza o dziczy i swołoczy, której często towarzyszyła nieznajomość geografii, ignorancja w dziedzinie literatury oraz niezłomne przekonanie, że Lenin był Żydem, stawia ich w jednym szeregu z najprzenikliwszymi umysłami Departamentu Stanu!

Drugi *pristiażnyj*, ten biegnący z lewej, widać, że zadbany, sierść mu błyszcząca: w istocie, nieraz karmiony był z ręki, a to dobrze rozmoczone w samogonie heglizmem, a to panslawizmem z dodatkiem młodego owsa. Myślę o rusofilii, która w polskich warunkach (inaczej niż we Francji) najczęściej (choć nie zawsze) wyrastała z serwilizmu, jeśli nie wprost z nakazu politycznego, i pozbawiona politycznej protekcji, rychło więdła, a nawet posiadając ją, była równie toporna, co groteskowa: apuchtiniady i Festiwale Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, *morożennoje* sprzedawane na ulicach gubernialnej Warszawy przez odzianych na biało kulturträgerów o smaku waniliowym i dzieła zebrane Lenina w półskórku nie zdały się niemal na nic. Jednak istnieniu postaw, dzieł i refleksji polskich motywowanych rusofilią, zwykle nazywanej „realizmem”, nie da się wykluczyć.

*Kto gotów jest twierdzić, że rosyjska kultura – choćby piórem Siergieja Lebiediewa – nie jest, nie będzie w stanie dokonać aktu autorefleksji na miarę „Doktora Faustusa”?*

Czy trzeba tłumaczyć, że wszystkie te trzy rysaki mogą pociągnąć co najwyżej w step i w ciemność? I że reakcje odruchowe, choć zrozumiałe, gdy

dotykamy gorącej blachy, nie mogą wyznaczać kierunku działań ani refleksji? Że odwoływanie premiery „Borysa Godunowa” można jeszcze od biedy uznać za toporny gest, ale ambicje derusyfikacji kultury – kultury przez duże K i culture.pl – prowadzą donikąd?

Wiele osób odwołuje się dziś do analogii nazizm-rasyzm, wiele posunięć Kremla czyni takie analogie niebezzasadnymi. Skoro tak jednak – warto przez chwilę przypomnieć reakcje na obłęd III Rzeszy. Owszem, we wstępniakach „Prawdy” Ilia Erenburg wył „Zabij Niemca!” – i znajdował chętny posłuch wśród krasnoarmiejców, a pomniejsi politycy przez wiele lat po wojnie zakazywali wykonywania nie tylko Wagnera, lecz i Beethovena, o przekładach Nietzschego nie wspominając.

W tym samym czasie jednak W.H. Auden w wierszu „1 września” pisał „Ścisła wiedza odsłoni tło / I wygrzebie spod ziemi kontury /Tej transgresji od Lutra do dziś /Która w obłęd wpędziła kulturę”, a najwybitniejszy z wygnańców z ziemi Lutra, szukając tych konturów, zamykał „Doktora Faustusa” słowami: „Niemcy, z hektycznymi wypiekami na policzkach, znaleźli się wówczas [w 1940 – ws] odurzeni na szczycie swych najdzikszych triumfów, zamierzając podbić świat całą mocą jedyne układu, którego zamierzały dotrzymać, a który podpisały własną krwią. Dziś, w uścisku demonów, jedno oko zakrywając ręką, drugim wpatrując się w grozę, z jednej rozpacz w drugą się pogrążają. Kiedyż osiągną dno czeluści? Kiedyż w ostatecznej rozpacz cud, który ponad wiarę wyrasta, zapali światło nadziei? Samotny człowiek składa ręce i mówi: >Bóg niechaj się zlituje nad waszą biedną duszą, mój przyjacielu, moja ojczyzno<”.

Kto gotów jest twierdzić, że rosyjska kultura – choćby piórem Siergieja Lebediewa – nie jest, nie będzie w stanie dokonać aktu autorefleksji na miarę „Doktora Faustusa”? Chyba tylko ten, kto skłonny jest uznawać tkankę tekstów za równie prosto tkaną, co onuce, i mniemać, że „wielkoruskie tony” – owszem, wyraźnie słyszalne u Puszkina,

Dostojewskiego, Błoka i Tiutczewa – czynią tych pisarzy autorami dyrektyw operacyjnych uderzenia na Irpień i Mariupol. Co uderza w takiej wizji, to prostota anachronicznego myślenia. Owszem, jest dziś ona bardzo en vogue: po drugiej stronie Wielkiej Wody podobnego chowu prezentyści chętnie obalają pomniki Jerzego Waszyngtona, co niewolnictwo popierał.

Nawet jednak prezentyści mogliby pamiętać o tradycji rosyjskiego krytycznego myślenia o okrucieństwach swych carów i swych bliźnich: tradycji, która od nikonian, dekabrystów i Czaadajewa, przez Radiszczewa, Gogola, Szchedrina i Czechowa, przez Bułhakowa, Charmsa, Sołżenicyna i Szalamowa, przez Arzaka i Siniawskiego, Gorbaniewską i Ratuszyńską, by wymienić tylko tuzin z tysiąca – prowadzi nas do filmów Bałabanowa, stanowiących już wprost prefigurację dzisiejszych zbrodni armii rosyjskiej. Czy i oni zostaną zakazani w imię wyniosłej „derusyfikacji”?

Stawiając te pytania mam poczucie pisania rzeczy banalnych, co dla felietonisty nie jest chlubą. Skoro jednak równie banalne, tyle, że rusofobiczne frazy pojawiają się zarówno w wypowiedziach ministerialnych, co na blogu warszawskiego literata, w ostatnich latach nierównie bardziej znanego ze swego okazywania pogardy, co ze swych konceptów i kamizelek – być może czas na banalną replikę.

*Wojciech Stanisławski*

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego